


Rozmowa „Wielogłosu”

Krytyka feministyczna – dokonania i perspektywy
Rozmawiają Anna Burzyńska, Anna Łebkowska, Tomasz
Nastulczyk, Mateusz Skucha, Monika Świerkosz i Teresa Walas



Teresa Walas: Witam wszystkich gotowych do rozmowy o krytyce feministycznej, jej obrzeżach oraz różnych współtowarzyszających jej zjawiskach. Nasze spotkanie inspirowane jest jego implicitną, jeśli tak można powiedzieć, bohaterką książki Krystyny Kłosińskiej *Feministyczna krytyka literacka*. Wprawdzie książki tej nie będziemy tutaj bezpośrednio omawiać, ale ona, jak powiedziałam, w jakiejś mierze dyskusję tę sprowokowała i na pewno będziemy się do niej w toku naszej rozmowy odwoływać. Nie mogę wszakże powściągnąć pragnienia, by – korzystając z tego, że rozpoczynam tę rozmowę – wyrazić zdumienie i podziw, że można napisać taką książkę. Jej przedmiot przypomina gigantyczny krzew koralowca, a autorka stara się opisać dzieje jego rozrastania się wzwyż i wszcz, stosując zmienną ogniskową, by uchwycić dynamikę całości i mikroruchy, których wytworem są niewielkie lokalne krystalizacje poszczególnych gałązek. Jest to taniec, nie tyle może na polu minowym, ile na nieustająco falującym gruncie. Heroiczne, można powiedzieć, przedsięwzięcie historiograficzne. Ale to uwaga *a parte*. Teraz chciałabym zaproponować porządek, czy raczej ramy naszej rozmowy, które oczywiście mogą ulec zmianie w zależności od zainteresowań tu obecnych.

Pierwsza rzecz, którą warto wziąć pod uwagę, to duże projekty krytyki feministycznej i ich losy. W jakiej mierze udało się je zrealizować bądź co sprawiło, że realizacja się nie powiodła? Takim rozległym projektem była niewątpliwie feministyczna historia literatury, jego zaś węższym i bardziej realistycznym wariantem – historia literatury kobiet. Dalej – kwestia podmiotowości, tak istotna dla myśli humanistycznej drugiej połowy ubiegłego wieku, a zreinterpretowana i, rzecz można, na nowo rozjątrzona przez feminizm. Dalej – problem estetyki kobiecej, kiedyś tak żywy, z biegiem czasu tracący na atrakcyjności. Słynna *écriture féminine* i próby stworzenia poetyki pisarstwa kobiecego – fortunne czy niefortunne? Podobnie: poszukiwanie wyznaczników czy parametrów lektury kobiecej – skuteczne czy porzucone? To jeden blok pytań, które wydają mi się warte uwagi. Drugi dotyczyłby spraw

ogólniejszych: wskazania, gdzie są w krytyce feministycznej miejsca problematyczne, punkty słabe, założenia budzące najwięcej wątpliwości. Co jej zagraża, co może ją wykołajać? I wreszcie pytanie ostatnie, dla mnie jako historyka literatury szczególnie interesujące: jakie są skutki tej teorii dla realnej praktyki badawczej, czyli w jakim stopniu krytyka feministyczna zmieniła literaturoznawstwo i sam obraz literatury. Tu oczywiście bezpieczniej będzie poruszać się po własnym podwórku, bo mało kto z nas potrafi objąć badawczym okiem piśmiennictwo światowe. Tak bym widziała schemat naszej dyskusji, a zaczęłabym od pierwszego tematu, czyli od tych dużych projektów krytyki feministycznej. Udało się czy nie udało je zrealizować? Jeśli nie, to dlaczego? A może wciąż jeszcze może się udać?

Anna Łebkowska: To jest niezwykle rozległe pytanie: co się udało. Na pewno się wszyscy zgodzą, że w jakiejś mierze udały się założenia ginokrytyki. Przy wielu punktach spornych, dyskusjach i przemianach poszukiwania te poszły w kierunkach wskazanych przez badaczki – odkrywania miejsc przemilczeń, szukania nowych gatunków, opisywania zjawisk dotychczas nieopisywalnych. Pozwolę sobie tu od razu płynnie przejść do historii: mamy historyczne ujęcie wielu gatunków, nawet kosztem, czy może dzięki rozszerzeniu wąsko rozumianego pojęcia literatury. Wiemy, że wchodzi tu w grę dziennik, cała memuarystyka, nowe formy autobiograficzne, epistolografia, zapiski itd. Myślę, że Państwo się z tym zgodzicie, że ten właśnie nurt ginokrytyczny niewątpliwie się udał i badania tego rodzaju są rzeczywiście szalenie pożyteczne. Odkrywane są autorki dotychczas nieznane, nawet z literatury staropolskiej; wiadomo, że nieco inaczej odczytuje się dziś dwudziestolecie międzywojenne, przypomina się ówczesne polemiki. Jest rzeczą zaskakującą, jak wiele pisze się dziś o Krzywickiej itp. Więc tutaj dzieje się sporo ciekawych rzeczy i oczywiście, sporo jest jeszcze do zrobienia. Od razu chciałabym też, zgodnie z wstępnymi sugestiami pani profesor Teresy Walas, wskazać niebezpieczeństwo, jakie mogła nieść w sobie ginokrytyka, takie mianowicie, że zagadnieniami tymi będą się zajmować wyłącznie panie – badaczki, że będzie to obszar niszowy. Tak się nie stało nawet na naszym gruncie, choć badaczki w ginokrytyce jednak dominują. Pojawiają się też badacze, którzy może niekoniecznie przyjmują optykę ginokrytyczną, ale deklarują feministyczną perspektywę, jak choćby Ryszard Koziołek, autor nie tylko książki *Ciała Sienkiewicza*, lecz także m.in. ciekawego artykułu o kobietach ciężarnych u tegoż Sienkiewicza, gdzie już w tytule taka feministyczna deklaracja się pojawia (*Ciąża w „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Próba lektury feministycznej*), a w samym artykule autor szuka literackiej reprezentacji doświadczenia kobiety ciężarnej.

T. Walas: Na marginesie: to związane z ginokrytyką, ale i ze zwrotem kulturowym poszerzenie pola badawczego o teksty należące do szeroko pojętej intymistyki, a także o innego rodzaju świadectwa, wydaje nam się czymś nowym jedynie wtedy, gdy patrzymy z perspektywy immanentnej historii li-

teratury. Jeśli cofniemy się w czasie, krajobraz badawczy się zmienia: oko historyka literatury obejmuje całość piśmiennictwa. Acz przyznać trzeba, że teksty kobiece nie były tam w większości uwzględniane. I druga rzecz, na którą prof. Łebkowska zwróciła uwagę, to jest wydobywanie pisarek do tej pory słabo widocznych w tradycyjnej historii literatury – zaledwie wzmiankowanych, spychanych do akapitów drukowanych *petitem* lub do podziemi przypisów. Pytanie, co ten przyrost materiału oznacza dla historyka literatury? Czy tylko zwiększa jego materiałowe obciążenie, czy zmienia kierunek selekcji, czy też wytwarza jakąś zupełnie nową perspektywę opisu?

Mateusz Skucha: Pojawiło się tu nazwisko Koziółka, chciałbym jednak przypomnieć, że już wcześniej ten gest ginokrytyczny dał się zauważyć na naszym gruncie. Chociażby u badacza, którego na pierwszy rzut oka nikt by o to nie posądził, a mianowicie – u Andrzeja Romanowskiego. Już w latach osiemdziesiątych napisał on niezwykle interesujący artykuł o kobietach – poetkach tworzących podczas I wojny światowej. Romanowski próbował odzyskiwać te zupełnie zapomniane i pewnie drugorzędne autorki. Nie twierdzę, oczywiście, że było to intencjonalne działanie feministyczne, ale sam gest jest iście ginokrytyczny z ducha.

Poza tym, dobrze byłoby w tym miejscu pokazać zróżnicowanie tych tendencji, o których była wcześniej mowa: z jednej strony pojawia się ginokrytyka rewizjonistyczna, czyli odzyskiwanie literatury kobiecej, szukanie autorek zapomnianych, a z drugiej strony – próby przeczytania na nowo tekstów znanych, które albo weszły już do kanonu, albo były jakoś obecne w historycznoliterackiej pamięci, a tym samym – reaktywacja pisarek i pisarzy zapomnianych lub uznanych wcześniej za nieciekawych. Odwołałbym się tutaj znowu do Kłosińskiej, ale tym razem do jej wcześniejszej książki – tej poświęconej Zapolskiej. Zapolska – prozaiczka została bowiem w pewnym momencie uznana za „nudziarę”. Lektura Kłosińskiej odkrywa w jej powieściach naturalistycznych niespodziewane treści. Oba te nurty wydają mi się badawczo efektywne. To natomiast, co, jak sadzę, mniej się udało, czy też zupełnie się nie przyjęło, to wszystkie koncepcje związane z *écriture féminine*. I sama koncepcja *écriture*, i próba lektury *écriture* nie przyniosły tak interesujących rezultatów, jak na przykład we Francji.

A. Łebkowska: W sprawie tego odzyskiwania polemizowałabym jednak z panem Mateuszem Skuchą. O kobietach autorkach od dawna już pisano; krytyka literacka zajmowała się też pisarkami. Nie jest tak, że ten temat to ziemia niczyja. Warto jednakże przyrzeć się temu, jak autorki bywały tam opisywane, za co były chwalone, a za co ganione; i to już się zresztą robi, między innymi w pracach doktorskich. Przecież jeszcze w okresie dwudziestolecia międzywojennego można było wyczytać z tekstu krytycznego intencję: „proszę, kobieta, a jednak całkiem niezłe napisała”. Oczywiście, nie twierdzę, że jest to jedyny sposób pisania o twórczości kobiecej. Co do *écriture féminine*,

to rzeczywiście można się z tą diagnozą zgodzić, zwłaszcza jeśli *écriture féminine* rozumieć tak, jak proponowała Cixous. Jej tekst *Śmiech Meduzy* miał, jak wiadomo, charakter manifestu; sama autorka w swych późniejszych pracach stwierdza, że był to „okres gniewny”. W czasach późniejszych, kiedy analizuje twórczość Clarice Lispector, podtrzymuje pewne cechy tego sposobu pisania, na przykład znamienne dla *écriture féminine* metaforyzację, ale też ją łagodzi.

Monika Świerkosz: Jeśli chodzi o *écriture féminine*, to nie rozpatrywałabym tego nurtu w kontekście badań historycznoliterackich, a bardziej w odniesieniu do pewnej sztuki interpretacji, czy też odbioru kobiecego pisania i sposobu kobiecego czytania. Wydaje mi się, że ten nurt *écriture féminine* większe zasługi położył właśnie na tym polu. Pozwolił stawiać pytanie, jak odbieramy tekst, który wstępnie nazwiemy kobiecym, i w jaki sposób nasz sposób czytania zmienia się pod wpływem tego tekstu. Gdy zaś mowa o projektach historycznoliterackich, prof. Łebkowska zwróciła uwagę na rzecz oczywistą, ale istotną. Właśnie krytyczki feministyczne pokazują, że o kobietach pisano od zawsze. Kobieta jako autorka i jako temat funkcjonowała w krytyce literackiej, jak również w historii literatury od samego początku istnienia tej dyscypliny. Problem polegał na tym, w jaki sposób była ona przedstawiana, co rozumiano przez słowo „kobieta”. Wcześniej była to zazwyczaj kobieta przez duże K, pojmowana jako pewna esencja kobiecości, właściwie idea. Biografie kobiet pojawiały się o tyle, o ile były to kobiety wybitne. Krytyczkom feministycznym chodziło o to, że w postrzeganiu przeszłości kobiet nie widzi się ciągłości, to znaczy nie widzi się tego, co jest podstawą historii literatury, tego, co nazywamy tradycją, co stanowi *continuum*: wzajemnych wpływów, intertekstualnej zależności pisarek. Innymi słowy, pisarki, jeśli w kanonie się pojawiały, to jako samotne wyspy na oceanie męskiej, nie ich tradycji. Tak to widziały feministki. I podejmowały heroiczną próbę odnalezienia, a także i określenia takiej wyłącznie kobiecej tradycji, którą dałoby się wydestylować z tekstów patriarchy, z kultury patriarchalnej, a następnie opowiedzieć tę historię z perspektywy ciągłości. I to, co uważam za najważniejszą zrealizowaną wartość tych wielkich syntez, przy wszystkich ich wadach, jakie można wskazać, to właśnie tę zmianę kryteriów oceny historycznoliterackiej. Żeby więc uzyskać wrażenie ciągłości, żeby można było tę tradycję pokazać i ją właściwie skonstruować (bo – na marginesie – to jest również lekcja, jaką te syntezy nam dały: że tradycję wytwarzamy, a nie odkrywamy zarówno gdy idzie o teksty męskie, jak i kobiece), żeby tę tradycję móc wytworzyć – badaczki feministyczne musiały zrewidować kryteria wielkiej historii literatury, takie jak: arcydzieło, ponadczasowość, uniwersalność, geniusz, i zidentyfikować je jako kryteria relatywne, przynależące do tej właśnie wielkiej narracji i w niej jedynie uzyskujące operacyjność. Postawiły więc na odmienny typ opowieści, na mikroperspektywę, co pozwoliło im odzyskać pomniejsze autorki – zapomniane, być może z perspektywy kanonu mało istotne. Dzięki temu jednak udało im się, mam wrażenie, zbudować pewną ciągłą (a właściwie ciągłą

i nieciągłą jednocześnie) narrację na peryferiach tradycyjnego kanonu, a przy okazji także niektóre z tych kanonicznych już pisarek odkryć i przeczytać na nowo, właśnie w perspektywie tej tradycji kobiecej.

A. Łebkowska: Uzupełniając, zwróciłabym uwagę na pewną ciągłość gatunkową i na inną hierarchię gatunków, jaka by się w takiej historii pojawiła: także – na inne tematy (niedawno mówiła o tym na konferencji *Historia literatury – reaktywacja* profesor Ewa Krakowska, która właśnie zamierza napisać *Historię polskiego pisarstwa kobiet w XX wieku*). Skoro mówimy o projektach, ale także i o realizacjach, to warto tu wspomnieć książkę Agnieszki Gajewskiej *Hasło: feminizm*, poświęconą pewnym tematom, pojęciom i ich transformacjom zachodzącym w historii literatury i kultury. Wydaje mi się to bardzo ciekawe.

Tomasz Nastulczyk: Jako historyk literatury, co prawda początkujący, chciałbym się odnieść do dwóch miejsc w wypowiedzi pani Moniki Świerkosz. Powiedziała Pani, że metodą pisania o kobietach, która wykluczała je z dyskursu, było uwzględnianie wyłącznie kobiet wybitnych. Nie do końca się zgodzę, ponieważ o wiele częściej spotykałem się z inną strategią: z traktowaniem pisarstwa kobiecego wyłącznie w kategoriach materiału socjologicznego. Dla wielu badaczy jest to materiał do historii obyczajów, do historii kobiet, pojmowanej wyłącznie jako historia obyczajowości, a nie autonomiczny temat do badań „poważnych”, literaturoznawczych czy, powiedzmy, badań nad historią idei. Parę lat temu na przykład spotkałem się z takim gestem wobec Anny Stanisławskiej. Podczas konferencji poświęconej etosowi humanistycznemu w jednym z wystąpień po prostu potraktowano jej poezję jako zjawisko socjologiczne. Kobiety pisarki lekcewały się w ten sposób, że odmawia się ich pisarstwu autonomii, co wydaje mi się posunięciem znacznie bardziej krzywdzącym niż podział na wybitne i niewybitne. Druga sprawa to kwestia obiegu. Patrząc z perspektywy literatury staropolskiej, która bardzo często nie wychodziła z rękopisu i nie opuszczała obiegu domowego czy sąsiedzkiego. My (mam na myśli badaczy literatury dawnej) bardzo wiele rzeczy staropolskich, w tym tekstów pisanych przez kobiety, wyciągnęliśmy tak naprawdę z rękopisów w XIX i XX wieku. One w swoim czasie krążyły wśród rodziny lub znajomych, ale nie ukonstytuowały w większości jakiejś liczącej się kobiecej tradycji. Pojedyncze pisarki rzeczywiście funkcjonowały w szerszym obiegu, tworząc wyspy, o których Pani mówi. Nieobecność szerszej kobiecej tradycji nie wynika jednak stąd, że na pisarki uwzięła się patriarchalna historia literatury, tylko stąd, że tak wyglądał ówczesny obieg literacki. O ile mężczyźni przepisywali swoje teksty i czytali sobie nawzajem, o tyle pisarstwo kobiece było uważane za tak ekscentryczne, osobiste, że czytano je umiarkowanie i w wąskim kręgu. Być może dlatego rękopis Stanisławskiej nie doczekał się druku. I tu tkwi problem transmisji tej literatury w XVII wieku i później, praktycznie aż do czasów Elżbiety Drużbackiej oraz Franciszki Urszuli Radziwił-

łowej, że po prostu to są zapisy prywatne, wydobyte stosunkowo późno przez historyków literatury.

M. Skucha: Może odbiegając nieco od krytyki feministycznej *sensu stricto*, chciałbym poruszyć tu jeszcze jedną kwestię. Otóż, Monika Świerkosz mówiła o tym, że przez długi czas istniała literatura przez duże L i ta pisana przez kobiety; od zawsze też kobieta była tematem literackim. Nie oznacza to, rzecz jasna, że od dawna funkcjonowała feministyczna krytyka literacka – raczej, powiedziałbym: krytyka, której tematem była kobieta. Przykładowo: fakt, że już na początku XX wieku pojawiła się książka Zaleskiego *Kobieta i kobiecość w poezji Słowackiego* nie oznacza, że badacz ten uprawiał krytykę feministyczną. Po prostu potraktował kobiecość jako temat i problem.

Nasuwa się tu jednak inne, w moim przekonaniu, niezwykle ważne pytanie: a co z „literaturą męską”? Tak naprawdę nie ma literatury męskiej, to znaczy kategoria męskości jako kategoria powszechna – nie istnieje. Swego czasu na problem ten zwracała uwagę Grażyna Borkowska, twierdząc, że o ile od pewnego momentu mamy do czynienia z literaturą kobiecą, o tyle nie możemy mówić o literaturze męskiej jako takiej, bo od razu pojawiają się dodatkowe kategorie (np. literatura marynistyczna, wojenna, przygodowa itd.). Dopiero od niedawna, powiedzmy od lat osiemdziesiątych XX wieku w Stanach Zjednoczonych, u nas pewnie dwadzieścia, trzydzieści lat później, zaczyna się rewizja tekstów męskich, czyli czytanie literatury pisanej przez mężczyzn z perspektywy uwzględniającej tematy związane z męskim ciałem i jego stylizacją, z męskim życiem, seksualnością, z męskością dysfunkcyjną, słowem: w ogóle z męskosciami. To zupełnie nowe ujęcie, nowy obszar badań, który wyłonił się w znacznej mierze pod wpływem krytyki feministycznej. Dobrym przykładem jest tu książka Bertholda Schoene-Harwooda sprzed dziesięciu lat pt. *Writing Men*, w której autor tropi reprezentacje mężczyzn i męskości u takich pisarzy, jak Conrad, James, Golding, Burgess, Welsh czy McEwan.

A. Łebkowska: Zgadza się, choć widziałabym tu jednak pewną różnicę. Otóż krytyka feministyczna ma w sobie pewne elementy dyskursu emancypacyjnego, widać w niej na przykład szukanie sposobów włączania się w obszar męskiej dominacji czy szukanie szczelin, uskoków itd. w ramach szeroko pojętego dyskursu patriarchalnego. Badania nad literaturą męską natomiast (oczywiście z braku czasu pomijam istotną i już z założenia dyskusyjną kwestię wydzielenia tej literatury), skądinąd bardzo ciekawe, pokazują, jak ta literatura wpisuje się – albo nie wpisuje – w dyskurs patriarchalny.

M. Skucha: Albo jak patriarchyat jest krzywdzący dla mężczyzn.

A. Łebkowska: Jednak nie ma tutaj problemu przemilczenia czy wykluczenia. Nie widziałabym tutaj symetrii między ginokrytyką a – powiedzmy – androkrytyką.

T. Nastulczyk: Pozycję podobną może zająć co najwyżej literatura mężczyzn homoseksualnych.

T. Walas: Co nam pożytecznie komplikuje obraz. Mamy literaturę kobiecą we wnętrzu patriarchy, patriarchat nie jest tożsamy z męskością, sama męskość się różnicuje, zajmując w części pozycję paralelną do kobiecości – uwalniamy się gładko od przesądu opozycji binarnych...

A. Łebkowska: Przesąd ten szybko się skończył w krytyce feministycznej, która zresztą opozycją męskie – żeńskie rzadko się posługiwała, mówiąc chętniej właśnie o patriarchacie.

T. Walas: Patriarchat jest wprawdzie konstrukcją kulturową, ale jednak mężczyźni empiryczni mają w nim chyba jakiś udział?

A. Łebkowska: Toteż w pewnym momencie mężczyźni poczuli się zagrożeni przez dyskurs feministyczny i stąd pojawiły się tzw. męskie studia (*men's studies*).

Anna Burzyńska: Nie zgodziłabym się z oceną, że badania androcentryczne pojawiły się z powodu odczucia przez mężczyzn zagrożenia dyskursem feministycznym, bo jest ona upraszczająca. A także z opinią, która padła przed chwilą – że krytyka feministyczna jest dyskursem emancypacyjnym, a androcentryczna – nie. W takich sformułowaniach pobrzmiewają nadal jakieś resentymenty, na które ja przynajmniej reaguję alergicznie, a poza tym wcale nie jestem pewna, czy nie znajdujemy się już obecnie w fazie, kiedy to mężczyźni poszukują sposobów włączania się w obszary kobiecej dominacji... Zaraz wrócę do problemów feminizmu, ale trochę okrężną drogą. Można się zgodzić, że w jakimś stopniu badania androcentryczne zostały sprowokowane feministycznymi, ale – moim zdaniem – przede wszystkim okolicznościami społeczno-kulturowymi, np. gruntownymi zmianami w strukturze społecznej i ekonomicznej współczesnego świata, a zwłaszcza nowymi układami ról w przestrzeni publicznej i zachwianiem tradycyjnych hierarchii. Jednocześnie model patriarchalny, który do tej pory atakowany był wyłącznie za wywieranie presji na kobiety, okazał się w co najmniej równym stopniu opresywny dla mężczyzn – o czym wspomniał Mateusz Skucha. W końcu przecież patriarchat, który zadekretował dominującą pozycję płci męskiej w kulturze i społeczeństwie, tym samym gestem przyprawił jej reprezentantom „gębę” tzw. prawdziwego faceta – silnego, pewnego siebie, zawsze zwycięskiego, atrakcyjnego fizycznie i nadludzko sprawnego seksualnie. Narzucił więc mężczyznom normatywny wzorzec „przywódcy stada”, który dawniej określano mianem „macho”, dzisiaj zaś – „samcem alfa” – a któremu przytłaczająca większość mężczyzn nigdy tak naprawdę nie była w stanie sprostać. I przeciwko temu modelowi zwróciło się przede wszystkim ostrze krytyki *men's stu-*

dies. Mężczyźni, od wieków posiadający przywileje dominacji i władzy, nagle okazali się bezbronnymi ofiarami systemu, który im owe przywileje nadał – „wydziedziczonymi sierotkami patriarchy” – jak określił to nieco ironicznie jeden z amerykańskich badaczy.

M. Skucha: Pozwolę sobie wtrącić tylko, że właśnie o takim mężczyźnie i – w ogóle – o opresjonowaniu jednych mężczyzn przez innych przekonująco pisze Connell w *Masculinities*, posługując się kategorią „męskości hegemonicznej” oraz „męskości podporządkowanych” i „alternatywnych”.

A. Burzyńska: Wracam do feminizmu – po pierwsze, wydaje mi się, że w tym sensie dyskurs androcentryczny pełni w chwili obecnej podobnie emancypacyjną funkcję do tej, którą od dawna pełnił feministyczny – emancypacyjną nie w stosunku do mężczyzn jako takich, ale do pewnego stereotypu męskości, który usiłuje przekroczyć. Powiem nawet więcej, choć może nie wzbudzi to zachwyty – z mojego punktu widzenia tendencje emancypacyjne dyskursu feministycznego są już dzisiaj, mówiąc delikatnie – przeterminowane; choć zgadzam się z opinią, że w sprawie reaktywacji zapoznanych pisarek jest jeszcze na pewno sporo do zrobienia. Ale zajmowanie się emancypacją kobiet, w czasach, gdy się już ona dokonała (a nawet potrzeby w tym zakresie przechyliły się na stronę mężczyzn), wydaje mi się trochę nudne i odczytuję to jako – jednak – słabość obecnej fazy nurtu feministycznego, który albo powtarza to, co już wiemy, albo szuka owych przestrzeni męskiej dominacji trochę na siłę. Dobrym przykładem może tu być przypadek słynnej ostatnio badaczki feministycznej – politolożki z York University, profesor Shannon Bell – która stwierdziła, że ostatnim przyczółkiem nierówności kobiet wobec mężczyzn pozostało już tylko to, że w czasie orgazmu kobiety nie osiągają wytrysku (choć mogłyby). I Pani Profesor postanowiła organizować warsztaty, podczas których uczy kobiety tej przydatnej umiejętności... Przykład jest może groteskowy (choć prawdziwy), pokazuje jednak, że tendencje emancypacyjne – nie tylko w tak zwanym życiu, lecz także, jak sądzę w wiedzy o literaturze – trzymają się już resztkami sił. Dobrze by więc było, żeby badania feministyczne skupiły się na jakichś nowych wyzwaniach. Po drugie, widać wyraźnie (i to jest dla odmiany wielką zasługą tych badań, z perspektywy *men's studies* jeszcze lepiej dostrzegalną), jak obficie badania maskulinistyczne korzystają z doświadczeń nurtów feministycznych – w zakresie metodologii, języka teoretycznego i krytycznego, problemów, które warto podejmować, czy nawet ogólnie pojętej świadomości pewnych stereotypów i form opresji. W tym sensie badania te mogą stanowić dla feministycznych coś w rodzaju lustra, w którym mogłyby się przejrzeć, a może nawet dzięki takiej informacji zwrotnej czegoś się nauczyć – a nie jest to bez znaczenia w chwili, gdy dostrzegamy jednak stagnację feminizmu, co daje się też wyraźnie wyczytać z ostatniej części książki Kłosińskiej. Mogłyby – gdyby, że tak powiem, badaczki feministyczne spoglądały w tę stronę nieco łaskawiej. Myślę, że takie spojrzenie

byłoby odświeżające. Przepraszam za ten zbyt długi wtret o mężczyznach, ale ja zawsze wolę widzieć nasze relacje w kategoriach współpracy i korzystania z obustronnych doświadczeń, niż podtrzymywania jakichkolwiek form antagonizmu, który wydaje mi się bezproduktywny.

M. Skucha: Sądzę, że doskonałym przykładem takiej właśnie kobieco-męskiej współpracy jest kwestia „męskiego feminizmu”. Zresztą, jest to ten obszar badań nad emancypacją kobiet, który nie został do tej pory zbadany. Oczywiście, zgadzam się z prof. Anną Burzyńską, że zajmowanie się obecnie emancypacją kobiet jest już trochę przestarzałe i zdezaktualizowało się, ale warto byłoby spojrzeć na tę sprawę od strony męskiej działalności emancypacyjnej – zwłaszcza w XIX wieku. Otóż, zwolenników równouprawnienia było wówczas wielu (dość wspomnieć Wiślickiego, Świętochowskiego, Krzywickiego, Petrażyckiego czy Kadena-Bandrowskiego). Co więcej, na terenie Polski na początku XX wieku działała Liga Mężczyzn dla Wywalczenia Praw Wyborczych Kobietom. I właśnie w tym obszarze jest wiele do zrobienia, chociażby wykonanie porządnej pracy źródłowej.

A. Łebkowska: Fakt, że model patriarchy jest opresyjny dla mężczyzn to dziś oczywistość, wydobywana zresztą przez literaturę, o czym sama blisko dwie dekady temu pisałam. Równie oczywiste jest powiązanie tej sytuacji z ogólnym tłem społeczno-kulturowym. Rzecz jasna, zawsze znajdziemy przykłady niemożności wpisania się w obowiązujące wzorce, stereotypy kulturowe i z tym nie sposób się nie zgodzić, są to sprawy dobrze znane, w genderowych badaniach literaturoznawczych znajdujące się w centrum uwagi od co najmniej 30 lat.

Czy rzeczywiście natomiast – na przykład w Polsce – można mówić o takiej sytuacji, w której mężczyźni poszukują sposobów włączania się w obszary kobiecej dominacji? Myślę, że to wyjątkowo odosobnione przypadki. Ponadto tendencje emancypacyjne tkwią u genezy nurtu feministycznego, który nie tylko przybrał postać wielokierunkową, ale też ma charakter zmienny i niekoniecznie oparty na konflikcie. Skoro padł przykład spoza badań literackich, muszę tu powiedzieć, że kiedy sprawa dotyczy równości płac, trudno mówić o nudzie. Na szczęście badania feministyczne skupiają się na różnych wyzwaniach, dosyć wyraźne są nurty zdecydowanie uciekające od antagonicznego myślenia czy od walki płci.

T. Nastulczyk: Pozwolę sobie na jeszcze jedną uwagę odnośnie do źródeł patriarchy, związaną z moim doświadczeniem historyka literatury. Badam teraz wiele przysłów łacińskich, funkcjonujących w kulturze staropolskiej na podstawie zbioru Grzegorza Knapiusza z roku 1632. Są tam przysłowia poświęcone kobiecie, ściślej mówiąc – niewieście, ponieważ „kobieta” była wówczas słowem wulgarnym. Zbiór Knapiusza zawiera olbrzymią ilość mizoginistycznych cytatów z pisarzy antycznych, głównie z Plauta, z Terencjusza,

gdzie kobieta jest zazwyczaj starą pijaczką, gadatliwą plotkarą albo rozpustnicą. Wszystkie te stereotypy, do dzisiaj żywotne, można odnaleźć w łacińskiej komedii i satyrze. I wydaje mi się, że cała wielka fala nawrotu do antyku, która zaczyna się od XVI wieku, wyniosła te teksty i nadała im rangę autorytetów. W ten sposób spora część kultury humanistycznej również uformowała patriariat. Jest to ciekawe o tyle, że Knapiesz, jezuita, po zgromadzeniu tej ogromnej ilości mizoginistycznych przysłów, pozwolił sobie w jednym haśle na napisanie krótkiej obrony kobiety. Oczywiście z perspektywy religijnej, stwierdzając, że wiele chrześcijańskich niewiast może być wzorem cnót i dobrych obyczajów. Negatywny wizerunek kobiety u pisarzy starożytnych uznał natomiast za odzwierciedlenie obyczajowości pogańskiej. Ale bardzo wyraźnie widać, że nawet siedemnastowieczny jezuita, ukształtowany w paradygmacie kultury humanistycznej, odczuwał to, co przedstawiał w swoim słowniku przysłów, jako skrajnie opresywne wobec kobiet. Wydaje mi się, że właśnie w humanizmie można by poszukać pewnych źródeł patriarchatu.

M. Skucha: Właśnie te badania historycznoliterackie pokazują, jak zmieni się obraz przeszłości, gdy spojrzymy z perspektywy kobiet na historię literatury czy ogólnie – na historię i na sposób wartościowania poszczególnych epok jako progresywnych czy regresywnych. Pojawia się pytanie: czy kobiety miały swój renesans? W jakiej mierze ta zmiana związana z nadejściem humanizmu pogorszyła, paradoksalnie, sytuację kobiet? I, przeciwnie, jak niektóre okresy pozornie niesprzyjające kobiecie, w tej perspektywie okazują się czasem rozwoju sztuki kobiecej czy też kobiecej wiedzy? Taką epoką jest średniowiecze, które fascynuje wiele badaczek feministycznych. Jeśli spojrzeć na rewolucję francuską, na rewolucję przemysłową, na zmiany, które z uniwersalnej, ale *de facto* jednak androcentrycznej perspektywy wydają się postępem, to z punktu widzenia kobiet jako grupy społecznej (bo chciałabym podkreślić, że w tych badaniach, podobnie jak w badaniach z obszaru historii socjologicznej czy w antropologii, patrzy się na kobiety nie jako na indywidualia, tylko jako na pewną grupę społeczną) mogą one przybrać zupełnie inną postać. Uwzględniając tę perspektywę, być może musielibyśmy zmienić nieco obraz periodyzacji literatury. Romantyzm, modernizm – przywykliśmy traktować te pojęcia jako uniwersalne. A może one są nieuniwersalne? Może trzeba je inaczej profilować? To jest też odpowiedź na pytanie, czy warto budować te wielkie syntez historycznoliterackie, które jako wielkie narracje przechodzą dzisiaj wyraźny kryzys. Choć i feminizm też się musiał przyznać, że jako dyskurs emancypacyjny również wytworzył swoją wersję wielkiej narracji. Co w kontekście historycznym, czyli w czasie tworzenia krytycznych narzędzi czy budowania własnej metodologii było konieczne. I tylko tak te emancypacyjne cele mogły być realizowane. Dziś zapewne i te badania muszą przejść pewną transformację, choć niewątpliwie nie wyczerpały one wszystkich możliwości. A już z pewnością nie wyczerpały ich w Polsce, gdzie, niestety, ten wielki projekt zbudowania rozległych syntez historycznoliterackich, przy współdziałaniu

wielu ośrodków akademickich i wielu niekiedy autorek, właściwie nie został zrealizowany. Trochę, niestety, dlatego, że kiedy drugofalowy feminizm przyszedł do Polski, to przyszedł razem z trzecią falą, która była już autorewizyjna i która właściwie fundamenty tych drugofalowych pomysłów podkopała. Dlatego, jak mówiła Inga Iwasiów, u nas te badania historycznoliterackie odbywały się bez tego, co ona nazwała „ optymizmem wczesnych kolonizatorek”.

T. Walas: Myślę, że na wielu płaszczyznach nastąpiło takie rozprężenie sił, także w tym szerokim, światowym feminizmie. Kiedy feministki próbowały stworzyć historię literatury kobiet, nie tylko wielkie narracje straciły dobrą opinię. Zwrot językowy i retoryczny podkopał też, jak wiemy, fundamenty historiografii jako wiedzy o faktach i okazywało się, że dyskurs historycznoliteracki, jak wszelka historiografia, jest wyrobem literaturopodobnym, co oznaczać miało: fikcyjnym, jego więc roszczenie sobie prawa do prawdziwości to urojenie. A przecież feministki obiecywały: „opowiemy wam prawdziwą historię kobiet”; chciały takiej historii zamiast historii niemej lub sfabrykowanej przez patriariat. Podobnie miała się rzecz z kanonem. Należało zdekonstruować czy zdemistyfikować stary kanon, by ustanowić własny, a tu zewsząd mówiono, że kanonu nie ma, że sama myśl o kanonie jest wadliwa, bo zawiera w sobie naganny odruch hierarchizacji. W wielu miejscach widać taką niespójność ruchów: fortece, które odbijano, właśnie się rozsypywały.

M. Świerkosz: Bardzo podobnie wyglądała kwestia podmiotu, by przywołać dyskusję Nancy Miller, która ma ogromny dług wobec poststrukturalizmu, do czego sama się przyznaje. Z jednej strony Barthes ogłasza śmierć autora i powiada, że krytyka literacka (i sama literatura) wchodzi w taką fazę, w której tropi się jedynie rozpad podmiotu w tekście. A Nancy Miller mówi w *Arachnologiach*, że feminizm nie może sobie pozwolić na to, żeby ogłosić śmierć podmiotu, bo ten podmiot kobiecy jeszcze właściwie nie doszedł do głosu ani w historii literatury, ani w krytyce, ani też w samej literaturze. Rzeczywiście więc taka paradoksalna sytuacja feminizmu na tle innych nurtów badawczych jest widoczna. Ale ja myślę, że to jest ogromny plus.

T. Walas: Ten paradoks robi wrażenie słabości, ale staje się też siłą: wzmacnia ducha krytycznego i skłania autorki feministyczne do rewizji własnych poglądów, przecinania swoich korzeni.

M. Świerkosz: To właśnie chciałam powiedzieć.

A. Burzyńska: A ja znowu trochę zamieszam. Wydaje mi się, że właśnie najwyższa pora, by też ogłosić „śmierć podmiotu” kobiecego. (Podmiotu, bo wbrew skłonności niektórych feministek do tworzenia żeńskich wariantów językowych, dość karykaturalnie brzmiałoby określenie go „podmiotką”.) Jeśli bowiem hasło Barthes’a zawierało w sobie, oczywiście tylko w jednym

wąskim aspekcie, owo „tropienie rozpadu podmiotu w tekście”, o którym wspomniała Monika Świerkosz, to przecież cel jego prowokacji był przede wszystkim metateoretyczny i metakrytyczny. Nie chodziło mu wszak o destrukcję podmiotu (autorskiego), ale o to, by poddać go reformie, oczyścić z monumentalności, a przede wszystkim – pozbawić go funkcji autorytetu – „nadzorcy”, kontrolującego praktyki czytania literatury. O to samo chodziło Derridzie, Foucaultowi i wielu innym. Mnie się wydaje – bo przecież *Arachnologie* Nancy Miller to już raczej epoka lodowcowa – że obecnie podmiot kobiecy, zwłaszcza autorski podmiot kobiecy – ma się nie tylko całkiem nieźle, ale czasami przybiera wręcz dogmatyczną postać. Nie wiem też, czy nie jest tak, że badania feministyczne weszły obecnie w podobną fazę, w jakiej znajdowała się wiedza o literaturze u progu poststrukturalizmu. To znaczy, że bardzo potrzebny jest im krytyczny zwrot wstecz – i tu zgadzam się z moimi przedmówczyniami – rewizja jest jak najbardziej na czasie. Szczególnie – jak mi się wydaje – w kwestii podmiotu. Przenicowaliśmy na wszystkie strony autora jako teoretyczną hipostazę poprawności odczytywania tekstu, nie zastanawiając się oczywiście nad jego płcią, ale niejako milcząco nadając tej kategorii cechy męskie (zwłaszcza gdy chodziło o dominację, autorytarność itp.) – głównie przez analogię do podmiotu filozoficznego, który tylko pozornie był bezpłciowy, ponieważ wiadomo, że tak naprawdę chodziło tu o białego racjonalistę, wyposażonego w fallusa – fallogocentrystę, jak nazwał go Derrida. Podmiot filozoficzny i autorski przeszły więc już dawno przez ponowoczesną „pralnię” pojęć, ale w takich właśnie, milcząco zakładanych zmaskulinizowanych wersjach. Może zatem przyszła pora, by w podobny sposób przemyśleć autorski podmiot kobiecy? I dokonać jego dekonstrukcji? Oczywiście, chodzi mi tu o perspektywę metakrytyczną i może z takiej właśnie – metakrytycznej perspektywy warto by się przyjrzeć również dzisiaj krytyce feministycznej? Albo wykorzystać na przykład stale, moim zdaniem, inspirujące pomysły Foucaulta, który mówił o mechanizmach dyscyplinowania podmiotu, wpisanych w praktyki dyskursywne – o „policji dyskursu”. Czy nie dałoby się tego dostrzec również w dyskursie feministycznym?

A. Lebkowska: Przecież dyskurs feministyczny jest wyjątkowo autorefleksyjny i metakrytyczny (w pewnych swoich nurtach, rzecz jasna). A przy okazji: nigdy dość powtarzania, że nie ma jednego feminizmu, także literaturoznawczego. Choć, oczywiście, jak to zwykle w takiej sytuacji bywa, jakieś niekiedy kuriozalne przypadki też możemy znaleźć. Wracając do kwestii podmiotu: otóż tu właśnie dosyć szybko dała o sobie znać niechęć do jakiegokolwiek dogmatyzacji, niechęć znamienita zarówno dla pewnych odmian myśli feministycznej, jak i dla poststrukturalizmu; te dyskursy wzajemnie się przecież inspirują, niekiedy płyną wspólnym nurtem. Podmiot badany w feministycznej optyce tożsamości jest przecież ustawicznie dekonstruowany i rekonstruowany, ujmowany w różnych perspektywach: na ogół konstruktywistycznych, ale niekiedy też i esencjalistycznych. Czy jeszcze inaczej: określane na przykład

poprzez figurę celowo wziętą – by tak rzec – z innej bajki, jak na przykład figura cyborga (Haraway). Tych przykładów można by podsunąć znacznie więcej. Ponadto podmiotowość łączy się dziś z cielesnością, a kategoria cielesności również naznaczona jest ambiwalencją i wielością znaczeń. Pamiętajmy, że ciałopisanie spod znaku Cixous miało uchwycić cielesność, obywając się bez perspektywy esencjalistycznej. W latach późniejszych Elizabeth Grosz – zarzucając swojej poprzedniczce wyłącznie metaforyzację – usiłuje jakoś „ulatujące” ciało zatrzymać, posługując się też zresztą metaforą w postaci wstęgi Möbiusa, która ma być niemożliwym połączeniem cielesnego wnętrza i zewnątrz. Zabiegi te wraz ze świadomością wszystkich aporii powodują, że kategoria cielesności wciąż nie traci na atrakcyjności.

Chciałabym jednak na moment wrócić jeszcze do myśli, która pojawiła się na samym początku naszej rozmowy, a wiązała się z *écriture féminine* w ujęciu Cixous. Jeśli pomysł ten potraktować nie jako projekt manifest, ale jako pewną diagnozę, jako próbę uchwycenia sposobu pisania przez kobiety (przy całej jego niedefiniowalności, przecinaniu się wielu dyskursów itd.), to okazał się on też atrakcyjny dla analizy tekstów pisanych przez mężczyzn, ale pisanych w pierwszej osobie, w rodzaju żeńskim. Wyłaniają się wówczas niezwykle interesujące problemy badawcze.

M. Skucha: Tak jest u Kraszewskiego, który w wielu powieściach posługiwał się konwencją kobiecego dziennika, umieszczając w nich fragmenty takiego dziennika prowadzonego przez bohaterkę. Albo, jak w przypadku *Dziennika Serafiny*, całą powieść stylizował na kobiecy dziennik. Ale – co interesujące – Kraszewski przemilcza tam najbardziej traumatyczne, a zarazem najbardziej kobiece doświadczenia, czyli doświadczenie defloracji i porodu. Wtedy fikcyjny wydawca pisze na przykład: „Tutaj kartki są wyrwane”. Gest ten można interpretować jako emancypacyjny – pisarz nie uzurpuje sobie prawa do mówienia o tych przeżyciach, do których on – jako mężczyzna – nigdy nie będzie miał dostępu.

Zresztą, przypomnieć wypada, że badaczki związane z *écriture féminine* czytały głównie teksty, których autorami byli mężczyźni (np. Cixous zajmowała się twórczością Geneta, później – Prousta, a Kristeva – Mallarmégo i Lautréamonta). I to właśnie u nich dostrzegały realizację kobiecego pisania symptomatycznego.

A. Łebkowska: Ale czytały też teksty kobiet. Zgodziłabym się natomiast co do kwestii podmiotu piszącego. Bliższy jest mi taki pogląd, który na plan pierwszy wysuwa pewne konwencje pisania. To jest chyba bezpieczniejsze dla krytyki feministycznej.

M. Skucha: To również jest temat kompletnie przemilczany w polskim literaturoznawstwie feministycznym. A przecież już dawno Marcia Lieberman i Jean Kennard udowodniły, że konwencja literacka jest bardzo ideologiczna

i seksistowska. Stwierdziły wręcz, że jest ona miejscem, gdzie seksizm subtelnie, ale bardzo sprytnie oddziałuje na literaturę. Warto byłoby więc zastanowić się, do jakiego stopnia styl, konwencja literacka czy gatunek są uzależnione od płci, seksizmu czy ideologii, bo – o ile wiem – badań takich nie ma na gruncie polskim.

M. Świerkosz: Definicja literatury kobiecej Ewy Kraskowskiej stwarza przestrzeń do rozwijania właśnie tego typu badań. W swojej ostatniej książce, *Czytelnik jako kobieta*, jawnie gra taką właśnie konwencją kobiecego odbioru, wychodzi jej naprzeciw. Myślę, że rewindykuje również samo pojęcie „samiecności”, które pojawia się niejednokrotnie w krytyce literackiej, właśnie po to, żeby zdefiniować ten rodzaj czytania, który jest jak najdalszy od profesjonalnego, pogłębionego, akademickiego sposobu analizowania literatury. Patrzy na literaturę pisaną przez kobiety z perspektywy konwencji tej literatury, a jednocześnie – w tym czytaniu uruchamia właśnie ten rodzaj pisania. Choć tutaj też może pojawić się pewien problem, polegający na sposobie definiowania samej konwencji i budowania kompetencji własnej, która pozwoli nam uchwycić historyczność tych konwencji. To, że dane gatunki powstawały w bardzo określonych warunkach społecznych, związanych z rynkiem wydawniczym, z rozwojem czytelnictwa, z rozwojem druku, czyli z całą masą społecznych zjawisk, które powodowały, że – na przykład – literatura romanśowa była pisana i czytana głównie przez kobiety. Jest rzeczą ważną, żeby nie wpaść w pułapkę łatwych klasyfikacji, co sprawia, że jedne gatunki uznamy za kobiece, a inne za niekobiece. To znowu jest nurt w badaniach o bardziej socjohistorycznym charakterze. Janet Todd, która bardzo dużo czerpie z Nowego Historyzmu, a nie boi się też powoływać na marksistki, chce czytać literaturę kobiet właśnie w perspektywie przemian historycznoliterackich ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień genologicznych. I ona zwróciła uwagę na to, że nie można redukować mówienia o literaturze kobiecej do mówienia o gatunkach – nazwijmy je – prywatnych; że w toku dziejów literatury kobiety uprawiały nie tylko gatunki prywatne, a więc epistolografię, dokument osobisty itd., ale wyrażały się również np. w pamfletach, pisały manifesty, sięgały więc odważnie po te konwencje, które zapewne były zarezerwowane dla mężczyzn. Toteż ważny wydaje mi się tutaj zwrot w stronę szeroko rozumianej historii w badaniach dziejów literatury kobiecej.

A. Łebkowska: Dodałabym tu jeszcze, że – wbrew temu, co sądzą uczeni sceptycznie nastawieni do takich badań – są to działania, które wymagają ogromnej energii i nakładu pracy. Teoria splata się tutaj z praktyką w sposób fascynujący, ale też pamiętać trzeba, że może to być zajęcie żmudne i przeznaczone dla wytrwałych. Trzeba zgromadzić i rzetelnie prześledzić dane historyczne, wprowadzić właściwe konteksty kulturowe. Weźmy dla przykładu znaną rozprawę Showalter *Przedstawiając Ofelię*. Przecież to jest przykład mrówczej pracy, włożonej przez badaczkę, by pokazać, jak postać Ofelii przejawiała się

w różnych formach kulturowych w całej historii od Shakespeare’a do XX wieku. Uogólniając: mimo tych trudności, mamy przed sobą niezwykle rozległe pole badawcze do wykorzystania.

T. Nastulczyk: Odnośnie do kwestii praktycznych: wydaje mi się, że w naszej konkretnej polskiej sytuacji historyczno-kulturowej, kiedy mnóstwo materiałów jest po prostu nieujawnionych i zalega w bibliotekach, zwłaszcza za wschodnimi granicami Polski, pisanie jakiegokolwiek historii literatury, również kobiecej, wymaga świadomego i samodzielnego prowadzenia kwerend. Sądzę, że spora część osób, która w tym momencie zajmuje się katalogowaniem czy sprawdzaniem zawartości bibliotek, po prostu nie jest wyczulona na ten typ literatury. Nie są tym zainteresowani badawczo, więc po prostu nie są w stanie tego wyłowić. Dotyczy to na przykład kobiet pisarek, bo z perspektywy kogoś myślącego w kategoriach kanonu mają one wartość drugorzędą. Trzeba wiedzieć, czego się szuka, żeby to znaleźć. To jest również postulat bardzo poważnej pracy źródłowej. Po prostu – w bibliotekach.

M. Skucha: Ponieważ padło nazwisko Janet Todd, myślę, że trzeba rozwinąć jeszcze jeden wątek: nieobecności niektórych ważnych feministycznych krytyczek. Ujawnia się tutaj jeden z największych paradoksów polskiej recepcji feminizmu – poza Simone de Beauvoir, której książka stosunkowo wcześniej została przetłumaczona na język polski (lata siedemdziesiąte), oraz antologią Hołównki z początku lat osiemdziesiątych, wszystko dostaliśmy naraz – w latach dziewięćdziesiątych XX wieku: i *écriture féminine*, i ginokrytykę, i zaraz później teorię *gender* z Butler na czele. Skutkiem tego było pewne zatracenie poczucia ewolucji feministycznej myśli literaturoznawczej.

T. Nastulczyk: I dostaliśmy to wszystko, mając nieprzerobiony własny kanon. Lepszą teorię, dostosowaną do lepiej opracowanych materiałów niż nasze, co nie może nie mieć konsekwencji.

A. Łebkowska: I mając przeszłość PRL-owską, co też tutaj jest nie bez znaczenia.

M. Skucha: Mogę nawet zaryzykować tezę, że nie mieliśmy się od kogo uczyć feministycznych interpretacji i że błędziliśmy trochę po omacku – zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych. Choć nie twierdzę, że to błędzenie nie przyniosło znakomitych rezultatów (w postaci na przykład pionierskich książek Janion, Kłosińskiej, Borkowskiej czy Iwasiów). Ale chodzi mi tutaj o wyraźne zaznaczenie faktu, że klasyczne feministyczne teksty literaturoznawcze nadal nie są przetłumaczone: ani książka Gilbert i Gubar, ani Millett, ani Miller, ani Schor, ani Toril Moi...

A. Łebkowska: Niebawem będą.

M. Świerkosz: Dlatego tak ogromną rolę będzie pełniła książka Krystyny Kłosińskiej. Bo ona pokazała nam, jak mało wiemy na temat korzeni krytyki feministycznej. Myślę, że jednak dla wielu z nas ta bariera językowa miała znaczenie; a jeśli nie sama bariera językowa, to kwestia dostępności tamtych książek. Naprawdę trudno jest sprowadzać książki amerykańskie czy francuskie. A równocześnie zaraz pojawia się pytanie: a gdzie krytyka feministyczna niemiecka, włoska, jugosłowiańska, ukraińska... Właściwie ta książka uświadomiła nam, jaki ogrom pracy jest do wykonania, ale też zainspirowała, pokazując, w jaki sposób krytyczki feministyczne czytały teksty literackie. Bo to nam umykało. Byłyśmy przesycone teorią, natomiast nie widziałyśmy samej praktyki krytycznej. Tu też jest ona oczywiście przedstawiona w sposób zapośredniczony, ale książka daje nam już jakieś wyobrażenie, jak ona wyglądała. Część poświęcona anglosaskim teoriom jest szczególnie ważna, ponieważ Krystyna Kłosińska włączyła tam rozdział *20 lat później*, który pokazuje te teorie wraz z polemikami, jakie wywołały. A to jest wielki problem polskich badań genderowych, że my zazwyczaj przyswajamy pewne teksty bez ich kontekstu, również tego polemicznego. Wzięliśmy Butler, ale bez dyskusji z Toril Moi, nie mając pełnej świadomości radykalizmu jej teorii, ponieważ nie uwzględnialiśmy ani poprzedzającego kontekstu, ani tych wszystkich polemik, które jej rewolucyjny charakter krytykowały.

A. Łebkowska: Rzeczywiście, moje doświadczenie dydaktyczne zgadza się z tym, co Pani mówi. Kiedy przed laty zaczynałam ze studentami omawiać problematykę genderową w ramach naszej nowej specjalności, książki Butler nie były jeszcze przetłumaczone i nie czytałam ich na zajęciach, ale w Internecie krążyło jakieś tłumaczenie i w swoich pracach studenci stale powoływali się na jej artykuł (lub nawet fragment), sprowadzając teorię badaczki jedynie do tego, że płeć jest konstruktem kulturowym. Tak mnie to zmęczyło, że po ukazaniu się przetłumaczonych już książek włączyłam teksty Butler do programu zajęć. Kiedy teraz rekonstruujemy ich tezy, często odstraszały studentów swoją radykalnością. Dla równowagi trzeba włączyć artykuły Agacinski i innych. Trzeba też ukazać kontekst tych teorii...

Ale mieliśmy mówić o różnych projektach feministycznych. Chciałabym wrócić do projektu rewindykacyjnego. Czy uważamy go za przebrzmiały, czy za wciąż świeży i obiecujący? Otóż można wskazać tematy ciągle jeszcze interpretacyjnie ciekawe. Kiedy wykładam na temat semantyki i doświadczenia przestrzeni kulturowej, musi się pojawić postać *flâneura*. Powstaje wówczas konieczność uświadomienia słuchaczom, że nie było żeńskiej odmiany *flâneura*, nie było *flâneuse*, a jeśli już, to jedynie kobieta lekkich obyczajów (u Baudelaire'a). W konsekwencji rodzi się wówczas pytanie: a co na to feministki? Więc feministki często udowadniają, że kobiety chodziły jednak do domów towarowych, do kina itd. A już w latach dwudziestych Virginie Woolf i bohaterki jej utworów można uznać za *flâneuse*. Są to zatem próby wypełnienia społecznych miejsc. Po czym pojawia się głos radykalnej re-

windykatorki, Janet Wolff, która powiada: nie szukajmy *flâneuse*, kobiecego *flâneura*; po prostu zrzućmy tego *flâneura* z piedestału, dlaczego uważamy, że jest on taki ważny?

T. Walas: W istocie, jest to dość dziecinne, by nie powiedzieć – neurotyczne poszukiwanie symetrii: skoro mężczyźni mają *flâneura*, my nie spoczniemy, póki nie znajdziemy swojej *flâneuse*...

M. Świerkosz: Te strategie rewindykacyjne są bardzo zróżnicowane i dobrze wziąć pod uwagę ich różnorodność również ze względu na polityczną siłę, która za nimi stoi. Z jednej strony rewindykację oznaczało mówienie: „Ale gdzie tam, my też miałyśmy swoje siostry Shakespeare’a” i teraz będziemy na siłę szukać jakichś przykładów, czasami nawet wyolbrzymiając fakty i otwarcie wytwarzając siostry Shakespeare’a, jawnie konstruując te historie, w czym nie ma nic złego, skoro wszelka historia jest konstruktem. To byłaby strategia oparta na włączaniu do kanonu. Ale była też strategia odmienna, antykanoniczna. Ona mówiła właśnie: „Dlaczego mamy równać do męskich wzorców? Zostańmy przy swojej tradycji, w swojej przestrzeni kulturowej”. To z kolei rodzi inne zagrożenia. Oznacza dowartościowanie wszystkiego, co w kulturze było kobiece. Być może znajdowało się to na marginesach kultury, ale jednak ma swoją wartość i powinno zostać opisane. Dajmy spokój siostrze Shakespeare’a, bo przecież wiemy, że genialnych kobiet, z przyczyn historyczno-socjologicznych nie mogło być wiele. Skupmy się na tych pomniejszych, skromnych postaciach kobiecych, opisujemy ich doświadczenie w perspektywie pozytywnej, dowartościowującej to, co kobiece. No i trzecia strategia, najbardziej rewizjonistyczna, polegała po prostu na pokazywaniu opresyjnych konsekwencji przyjmowania przez kulturę androcentrycznych norm i na pokazywaniu: „nie ma nas tutaj, i tutaj nas nie ma, tutaj wypchnęliśmy nas z dyskursu, tu wyrzadziliście nam krzywdę, tutaj nas marginalizowaliście” itd., itd. Tak więc tych strategii rewindykacyjnych było przynajmniej kilka. I teraz pojawia się pytanie, które z nich współczesna badaczka historii literatury kobiet może wykorzystać. Jest to też moje pytanie: jak mam badać literaturę kobiet, do jakich strategii, metod sięgnąć, które obecnie i w odniesieniu do dzisiejszej literatury kobiet (ponieważ i literatura kobiet się zmienia) są efektywne? Myślę, że ciekawy jest nurt badań właśnie rewindykacyjny, który w Polsce nie bardzo się przyjął, i chyba jedynie Inga Iwasiów go uprawiała, a mianowicie feministyczna lektura androtekstów. Patrząc wstecz, nie widzę tej fazy czytania androtekstów. Czyli – jakbyśmy tej pracy rewindykacyjnej wcale nie wykonali. Taka praca odbyła się, ale nie na kanonie tekstów, tylko na kanonie interpretacji. Polegała na rewindykacji na przykład Nałkowskiej, Orzeszkowej czy Przybyszewskiej, czyli na wyjęciu ich z interpretacji, które, mówiąc metaforycznie, dorabiały im męską głowę. Że oto udało im się wejść do tego kanonu, ale dlatego, iż pisały po męsku. Rewindykacja zmierzała tu do przejmowania tekstów kobiecych zagarniętych przez kanon kształtowany według męskiej hierarchii wartości i w akcie męskiej lektury.

A. Łebkowska: Co ciekawe, pierwsza książka Ingi Iwasiów poświęcona Odojewskiemu nie wpisuje się w strategię rewindykacji. Uważam ją zresztą za jedną z najlepszych książek o Odojewskim, w dodatku pionierską, należącą do tych, które zapoczątkowały krytykę feministyczną w Polsce. Iwasiów właściwie pokazała, jak Odojewski w swoich powieściach demontuje patriarchyzm – czyli jest to lektura, która nie służy rewindykacji, bo tutaj nie ma co rewindykować. Może analiza *Dzienników* Tyrmanda też autorstwa Iwasiów wpisywałaby się w ten nurt, o którym Pani mówi.

T. Nastulczyk: W tym nurcie strategii rewindykacyjnych mieści się też zainteresowanie dziewiętnastowiecznymi pisarkami, stylizującymi się na tak zwane pisanie męskie, czego przykładem jest Konopnicka. W krytyce gejowsko-lesbijskiej jest teraz fala rewindykacji Konopnickiej poprzez wydobywanie jej rzekomego związku z Dulębianką, co zrobił Tomasik w *Homobiografiach*. Mam pewien problem z tym manewrem, ponieważ, jeśli patrzeć od strony źródłowej, nie widać, niestety, podstaw do utrzymania tej tezy. Zwłaszcza że Tomasik gotów jest widzieć w związku Dulębianki z Konopnicką schemat *butch* i *femme*, upodabiając go do związków lesbijek dzisiejszych. Chciałbym zapytać, czy jest możliwość uniknięcia takiego ryzyka podczas rewindykacji. Co zrobić z tą Konopnicką, żeby z jednej strony ocalić jej kobiecość, wydobyć ją spod tej maski matki narodu, jaką sobie sama nałożyła, a z drugiej – nie tworzyć narracji zupełnie oderwanych od podstaw źródłowych, które pojawiają się głównie dlatego, że konkretnej grupie potrzebna jest hagiografia.

M. Świerkosz: Myślę, że zrobiła to Lena Magnone w poświęconej Konopnickiej książce *Lustra i symptomy*. Magnone sięgnęła po dokumenty biograficzne – po zapiski poetki, jej listy do córek, co pozwoliło odczytać teksty literackie Konopnickiej w innej perspektywie. Tomasik próbował postępować podobnie. Ale to pokazuje, że samo posłużenie się biografią czy autobiografią nie gwarantuje powodzenia w przeprowadzeniu feministycznej rewolty, że pojawia się tutaj sporo pułapek, czyhają pokusy (i możliwości) łatwego manipulowania materiałem. Ja też nie zgadzam się z tą interpretacją, jaka została przedstawiona w *Homobiografiach*, natomiast Lena Magnone zrobiła to trochę inaczej, odwołując się do Kristevej, czyli wybierając to, co semiotyczne, co przejawia się asemantycznie, za pomocą rytmu, rymów, melodyjności, a co z poezją Konopnickiej wiążemy w sposób oczywisty. Właśnie posłużenie się tym, co rozpoznajemy jako najbardziej charakterystyczny, tradycyjny rys jej twórczości, do „wywrotowej” lektury feministycznej jest posunięciem niezwykle owocnym. I Lenie Magnone udało się pokazać, że to, co badawczo zbanalizowane, co łatwo dostrzegalne w tych z pozoru pocziwych tekstach Konopnickiej, jest być może rewolucją. Bo czy nie dlatego Leśmian czerpał właśnie z Konopnickiej? Leśmiana dzisiaj uznajemy za rewolucjonistę języka poetyckiego, a Konopnicka spoczywa w lamusie.

W ogóle trudno nam sobie wyobrazić pisarki w roli metaforycznych matek literackich. Literatura ma ojców, do których odwołuje się teoria wpływu. A wpływ matek-pisarek na pisarzy i pisarki następnych epok to jest historia nieopowiedziana. Showalter w znanym tekście *Krytyka feministyczna na rozdrożach* wskazuje, że samo badanie wpływów i rozwinięcie ich teorii, opis wzajemnych relacji pomiędzy pisarzami i pisarkami w toku dziejów – to też jest przyszłość krytyki feministycznej. I książka Leny Magnone dowodzi, że da się to zrobić.

T. Walas: Wróćmy może do kwestii ogólnych. Jak przedstawiają się ewentualne tezy wątpliwe, miejsca problematyczne bądź niebezpieczne krytyki feministycznej? Są czy ich może nie ma?

A. Łebkowska: Miejsca niebezpieczne... Z jednej strony na pewno izolacja, z drugiej – rozproszenie. To od początku towarzyszyło krytyce feministycznej i chyba towarzyszy do dzisiaj. Także w wymiarze dydaktycznym. Osobne studia feministyczne stają się zjawiskiem niszowym, a gdy się je włącza w obszar szerszej dyscypliny, mogą ulec rozproszeniu. Sama jestem zwolenniczką tego drugiego rozwiązania, ale zdaję sobie sprawę, że to pierwsze być może bardziej sprzyja badaniom empirycznym, materiałowym, o których wcześniej mówiliśmy. Niebezpieczne jest na pewno rozpięcie między skrajnościami: radykalnym konstrukcjonizmem i równie skrajnym biologizmem. Problem ten jednak jest od tylu lat diskutowany, że nie wiem, czy warto tu do niego wracać. Są oczywiście zarzuty stawiane, by tak rzec, od zewnątrz, na przykład instrumentalizacja literatury...

T. Walas: Wręcz ideologizacja...

A. Łebkowska: Ideologizacja, upolitycznienie. Podporządkowanie literatury niekiedy doraźnym celom.

T. Walas: Sama krytyka feministyczna zresztą też z tym walczy. Gdy jeden jej nurt wykazuje skłonność do ideologizacji, drugi powściąga te zapędy. Dostrzegam natomiast niebezpieczeństwo, którego źródłem są tendencje świadczące równocześnie o sile i żywotności tej krytyki. O tym paradoksie była już mowa. To tendencje do autokorekty i asymilacji. Póki jakaś teoria feministyczna ma wyrazistą postać np. prostego układu jednoliniowego: szukamy genealogii kobiecej – matek dla córek, wszystko idzie względnie gładko. Ale okazuje się, że są też ojcowie córek i synowie matek. Rysunek się zaciera, traci swoją dotychczasową przejrzystość, tak skomplikowane relacje stają się trudniej uchwytne dla dobitnego języka tej krytyki. Albo kwestie związane z poetyką. Estetyka feministyczna próbowała ten obszar zagospodarować, choć chyba jednak bez większego powodzenia. Trzeba by całą kwestię genealogii ustawić w nowej perspektywie. Bierzymy w rachubę uwarunkowania

historyczne, musimy więc włączyć współczynnik społeczny sprofilowany feministycznie, ale uzyska on właściwe znaczenie wtedy dopiero, gdy znajdzie swoje miejsce w większej strukturze. I przez to wzbogacenie model zaczyna być poważnie przeciążony, teoria traci wyrazistość, a co za tym idzie – także operacyjność. To przydarzyło się kiedyś teorii komunikacji: włączając coraz więcej współczynników, straciła sterowność.

T. Nastulczyk: Można zaproponować inne ujęcie: krytykę feministyczną potraktować nie jako zestaw teorii, ale jako zestaw praktyk badawczych. Te zaś rozdzielić na rozmaite działy badawcze, bez ryzyka, że to się rozejdzie jako całość. Konkretni badacze zajmą się tym, co ich najbardziej interesuje, tworząc po prostu rozgałęzienia dyscypliny. Drogą naturalnej ewolucji.

A. Łebkowska: To dość idealistyczny obraz...

T. Walas: Jeden się zajmie gatunkami literackimi, inny emanacją ciała?...

A. Łebkowska: Wydaje się, że – jednak – dzisiejszy obraz krytyki feministycznej po trosze wygląda tak, jak Pan proponuje. Gdy czyta się liczne pokonferencyjne tomy, trudno nie zauważyć, że charakteryzują się one takim właśnie rozproszeniem, chociaż niekoniecznie widać w nich zainteresowanie badaniami materiałowymi.

T. Walas: Książka Kłosińskiej kończy się w tonacji raczej minorowej. Feministki coraz częściej mówią: grozi nam stagnacja, bo wytworzyłyśmy pewien zestaw metod, które się zbanalizowały, przekształciły w rutynę. Pytania są pozorne, bo mamy gotowe odpowiedzi. Jednym słowem – robi się nudno. Czy Państwo też macie takie wrażenie?

A. Burzyńska: Właśnie na to starałam się zwrócić uwagę, mówiąc o stagnacji i o nudzie wiejącej na przykład z ciągłych nawrotów dyskursu emancypacyjnego, ale nie tylko. Przyjęłam w tej rozmowie na siebie trochę rolę adwokata diabła, bo ja się badaniami feministycznymi, genderowymi czy też queerowymi itd. zajmuję o tyle tylko, o ile stanowią one fragmenty współczesnej teorii literatury. Dzięki temu jednak mam szansę przyglądać się im z pewnego dystansu oraz z pozycji z zewnątrz, a nie od środka, i przyznaję, że monotonia wielu prac feministycznych jest czasami wręcz porażająca. Nawet jeśli wydobywa się z otchłani jakąś kompletnie zapomnianą pisarkę, to na ogół znajduje się u niej to samo, co u wielu innych – w kółko krążą te same tematy i terminy, które już dawno temu pojawiły się w języku feministycznym. Może więc przede wszystkim język tej krytyki wymaga odświeżenia? Mógłby na przykład skorzystać z pomysłów najnowszych nurtów – na przykład performatycznego? Albo wykorzystać inspiracje poetyki doświadczenia, której bardzo interesujące perspektywy zarysował na przykład wydany ostatnio tom

Kulturowej teorii literatury 2? Oczywiście, o doświadczeniu kobiecym wiele się na gruncie badań feministycznych pisało, ale – znów – za pomocą ciągle tego samego zestawu tematów. Odnoszę wrażenie, że badania feministyczne wyczerpały swoją subwersyjność, co w pewnym sensie jest naturalne, ale też zatraciły inwencyjność, bo zbyt wygodnie poczuły się we własnym kokonie i znajdują się obecnie w sytuacji, w której mamy już tylko do czynienia z kolejnymi wariantami tych samych problemów.

A. Łebkowska: Przypominam, że taka topika funeralna pojawia się w krytyce feministycznej niemal od początku. Co jakiś czas zabiera głos ktoś, kto mówi, że ten typ badań się wyczerpał, że traci swój impet itp. Mam wrażenie, że wszystkie jej wewnętrzne przemiany i inne ruchy, także jej rozszerzenie się na studia kulturowe, są dowodem jej żywotności.

A. Burzyńska: Właśnie o tym mówię – to znaczy o potrzebie otwarcia się badań feministycznych na najnowsze języki interpretacji i nowe narzędzia, które się jednak – i na szczęście – stale pojawiają.

M. Skucha: Myślę, że sporo jest jeszcze do zrobienia. Choćby odzyskanie historii staropolskiej homoseksualności (nie ukrywam, że liczę tu na książkę Tomasza Nastulczyka i Piotra Oczko). Poza tym, literatura PRL-u, którą dopiero teraz zaczęto odkrywać dla badań feministycznych. Następna kwestia to literatura popularna przeczytana feministycznie. Przecież taka Grochola to temat na poemat. No i oczywiście romanse – zarówno te dziewiętnasto-, jak i dwudziestowieczne oraz współczesne. Kolejna rzecz to „męski feminizm”...

T. Nastulczyk: Wraz z doktorem Piotrem Oczko przygotowaliśmy właśnie wspomnianą książkę poświęconą staropolskiej homoseksualności, czuję się więc poniekąd wywołany do odpowiedzi w kwestii luki w historii homoseksualności. Zazdroszczę krytyce feministycznej, że robi się w niej nudno, bo gdy idzie o prowadzone przeze mnie badania, to jest raczej pusto. Mamy jedynie jakieś strzępy informacji. Jest przykład jednej tylko staropolskiej lesbijki, a raczej kobiety posądzonej o skłonności lesbijskie i równocześnie o hermafrodytyzm, bo to się kompletnie mieszało w tych dyskursach; w tej sprawie zachował się wyrok trybunału lubelskiego, pochodzący z archiwum Braci Polskich. Mamy jeszcze inny wyrok dotyczący niejkiej Agnieszki Kuśnierczanki, która w męskim stroju odprawiała „zaloty męskie zmyślone” wobec innych kobiet. Do tego wzmianki o „niewiastach łączących się ze sobą sposobem sodomskim” z podręczników teologii moralnej. I to jest właściwie cały materiał, do którego mógłbym się odwołać, chcąc zrekonstruować historię staropolskich kobiet, powiedzmy – nieheteroseksualnych. To, jak widać, nie jest literatura. To są w najlepszym razie zapiski archiwalne, sądowe bądź okołosądowe. Taka literatura albo nie istnieje, albo jeszcze jej nie odkryliśmy, więc tak naprawdę nie bardzo jest co rewindykować.

A. Burzyńska: To, co Pan mówi, jest bardzo interesujące. Bo nawet jeśli zdarzają się trudności ze znalezieniem materiału, to jednak chyba bardzo ciekawe jest spojrzenie z naszej dzisiejszej perspektywy i przy użyciu nowych języków opisu na dawne epoki. Nie chodzi oczywiście o to, by na siłę narzucać nasze sposoby myślenia tamtym, zupełnie innym mentalnościom, ale by podjąć tematy, o których w historii i historii literatury mówiło się zbyt mało, albo nawet nie mówiło w ogóle. Konstatuję to trochę wbrew sobie, bo ja jednak jestem hardteoretyczką. Ale kiedyś na przykład recenzowałam pracę magisterską, której autorka przeczytała Reja (uwzględniając przy tym bardzo wnikliwie cały kontekst społeczny i kulturowy, w którym pisał) z perspektywy feministycznej – i była to praca niezwykle ciekawa, więc, krótko mówiąc, wydaje mi się, że więcej nieodkrytych możliwości tkwi obecnie w badaniach historycznych, niż samych teoriach feministycznych czy feministycznej krytyce literackiej. Chociaż na pewno i na gruncie teorii feministycznej dałoby się jeszcze znaleźć coś, co właściwie nie zostało podjęte – na przykład modne też ostatnio tematy dotyczące materialności.

M. Świerkosz: Kwestia materialności – i w krytyce feministycznej, i w czytaniu literatury – jest szalenie ważna i wydaje mi się, że to jest droga, którą feminizm pójdzie w najbliższym czasie w swoich badaniach. Sama Kłosińska też zwraca uwagę, że źródłem nudy, która zapanowała w tych badaniach nad płcią, jest między innymi rozdzielenie materii i znaczenia. To, że w którymś momencie ta cała materialna sfera płciowości, tekstualności, została od genderu oddzielona, że sferę badań feministycznych zdominowały w pewnym momencie konstrukcjonistyczne tendencje, co wszystkim wprawilo w zachwyt. Ale to się kończy. Widać wyraźny zwrot w stronę cielesności, w stronę reaktywacji podmiotu, ale podmiotu po przejściach, który już nie będzie tym samym podmiotem, jakim był przed tymi wszystkimi przełomami w humanistyce. Toteż wielu badaczy podkreśla, że studia feministyczne znajdują się dziś w szczególnym momencie, w specyficznej sytuacji. W języku angielskim da się oddać ten stan poprzez określenie „after feminism”, „after theory”, a nie „post”. To znaczy te teorie będą pofeministyczne, a nie postfeministyczne. Takie więc, które nie odżegnują się od wcześniejszego feminizmu, przyznają się do błędów, wyciągają z tego naukę i teraz w tej fazie „po” próbują iść dalej. Ostatnio natknęłam się na najnowszą książkę jednej z moich ulubionych filozofek feministycznych, czyli Elizabeth Grosz. Wraca ona do Darwina, ale nie w sensie reaktywowania biologizmu; próbuje pokazać ewolucję jako mechanizm czy proces, który pozwolił nam zachować różnicę. W myśleniu Toril Moi też widzę wycofywanie się ze stanowiska uznającego różnorodność za wyjątkową wartość, za centrum myśli teoretycznej. Mam wrażenie, że wraca się do różnicy, ale nie jest to już różnica konstytuowana przez opozycję „ja” i Inny. Nie spodziewałam się, że ten jej korporalny feminizm pójdzie w stronę takiego materializmu, który ją skieruje ku Darwinowi i teorii od wielu lat przez feministki obalanej: ku jakiejś formie determinizmu, który kobiety w tej ewolucji skazywał od razu na przegraną.

Bo jeżeli prawo siły miałyby być tym, co pcha świat do przodu, to kobiety, jako fizycznie słabsze, nie mogły odegrać jakiejś szczególnej roli, poza rolą reprodukcyjną. Feministki więc przez lata wadziły się z Darwinem. Odrzuciły socjobiologię właśnie jako źródło różnych mizoginicznych przesądów na temat kobiet, a teraz nagle do niej powracają. Nie czytałam tej książki, więc nie jestem w stanie uchwycić intelektualnych subtelności tego zwrotu, ale na pewno jest to zwrot ku materialności, ku społeczeństwu i ku historyczności; ku takiej historii, która jest kulturowym ustrojem.

A. Burzyńska: Wracając jeszcze do kwestii cielesności i innych spraw z nią związanych: wydaje mi się, że nie tylko cielesność jest taką sferą, której badanie rokuje jeszcze jakieś nadzieje na przyszłość, ale także to, co się bardzo mocno z nią wiąże, czyli seksualność i pożądanie. Na te tematy ciągle jeszcze zbyt mało się mówi. Warto tu wspomnieć na przykład o postpsychoanalitycznej perspektywie Julii Kristevej, która – przynajmniej w moim przekonaniu – dostarcza bardzo ciekawego instrumentarium badawczego i równie interesującego języka, świetnie się sprawdzającego w czytaniu literatury, co udowodniła ostatnio Iga Noszczyk w interesującej i odkrywczej lekturze Gombrowicza. A przynajmniej taka perspektywa pozwala znaleźć w literaturze – zwłaszcza należącej do kanonu – to, czego dotychczas się nie zauważało. I to zarówno w przypadku pisarstwa męskiego, jak i kobiecego. Może właśnie dlatego, że Kristeva odżegnuje się od feminizmu, co oczywiście nie znaczy, że nie może mu być przydatna. Jej poglądy, zwłaszcza późne, są u nas bardzo mało znane i chyba jednak niedoceniane, bo przecież prawie w ogóle nie ma polskich tłumaczeń jej książek. I znów nie chcę przez to powiedzieć, że problematyka seksualności nie pojawiała się na gruncie dyskursu feministycznego, jednak, o ile tak, to – jak mi się wydaje – w bardzo ubogiej wersji. I nie dotyczy to tylko feminizmu, ale jest zjawiskiem ogólniejszej natury. Seksualność ciągle stanowi u nas sferę tabu i dlatego wciąż brakuje nam języka do jej opisu – także do badania tych problemów w literaturze.

T. Walas: A co się dzieje z tym radykalnym konstruktywizmem? Czy on został po prostu zarzucony, czy się wysycił, bo już bardziej nie można go było radykalizować? Skoro wszystko jest w stanie całkowitej płynności...

M. Świerkosz: Ale Judith Butler na przykład mówiła o zachowaniu krytycznego stanowiska wobec *queer*. Wobec tego, co, mówiąc najprościej, miałyby być przekraczaniem filozoficznego binaryzmu przy użyciu kategorii różnorodności. Mam dziś spore wątpliwości, czy ogłaszanie ery radosnego pluralizmu poszerzyło naszą wolność. Naprawdę nie wiem, co to znaczy „być *queer*”, choć jednocześnie problematyka ta mnie pociąga...

T. Walas: Mnie się wydaje, że – jak dobrze się przyjrzeć – wszyscy jesteśmy na swój sposób *queer*...

A. Burzyńska: Mnie też. Ale jednocześnie przez fakt, że teoria i krytyka *queer* tak rozszerzyła swój zakres – wychodząc od odmienności seksualnej, a obejmując wszelkiego rodzaju odmienności – straszliwie się przy tym rozmyła i ja na przykład mam dziś problemy z uchwyceniem tego, o co naprawdę jej chodzi.

M. Świerkosz: Butler sama zachęca do podważenia kategorii *queer*, której może nie skonstruowała, ale która zajmuje istotne miejsce w jej pisaniu. Wydaje mi się więc, że i ona w pewnej mierze otwiera się na, powiedzmy, zaniegowanie własnej teorii.

T. Nastulczyk: Pani Profesor powiedziała: „wszyscy jesteśmy na swój sposób *queer*”. To dobrze brzmi jako pewien postulat teoretyczny, ale nie zawsze sprawdza się w praktyce. Przygotowując z Piotrem Oczko wcześniej wspomnianą książkę, stanąłem przed takim oto problemem: musiałem zgromadzić kanon tekstów do interpretacji, a więc również wybrać zakres tematyczny książki. Jeśli wziąłbym *queer*, to brakowałoby mi, że się tak wyrażę, twardej myśli przewodniej, umożliwiającej zgromadzenie tekstów według pewnej osi tematycznej. Mogłyby tu wchodzić wszystkie staropolskie seksualne odmienności, których było multum. Żeby wyłowić kanon tekstów, musiałem się odwołać do bardziej esencjalnych, staromodnych, nawet dziewiętnastowiecznych kategorii: do mocnej, esencjalnej homoseksualności, nieco ewentualnie rozszerzając jej granice, żeby nie wpaść w jakiś redukcjonizm. Trochę się tego przestraszyliśmy. Gdybyśmy jednak wybrali konstruktywizm... W epokach dawnych o homoseksualności pisano w kategorii grzechu sodomskiego. Jak wiadomo, grzech nie jest kategorią tożsamościową, grzesznik jest grzesznikiem, dopóki grzeszy. Sodomitą, który przestanie uprawiać grzech sodomski i odbędzie pokutę, przestaje być sodomitą. Kiedy popatrzymy na niektóre założenia kategorii Odmieńca, który również nie jest esencjalnie zdefiniowany, lecz określa się przez swoje czynności, pojawiają się dość niepokojące zbieżności ideowe. To definiowanie człowieka przez czyny, a nie przez kategorie esencjalne powoduje, że razem z kategorią Odmieńca nagle w pakiecie przyjmujemy kategorię sodomity, co rodzi bardzo poważne obawy, zarówno natury etycznej, jak i poznawczej.

T. Walas: Czyli performatywy nas nie zbawia...

T. Nastulczyk: One są bardzo skuteczne jako narzędzie analizy późniejszego medykalizującego dyskursu, który rzeczywiście można rozrzedzić i zdekonstruować dzięki myśleniu performatywnemu. W momencie, gdy mamy taką „sodomiczną magmę”, potrzebujemy czegoś wprost przeciwnego.

T. Walas: Tu widać, że praktyka badawcza historyka literatury wymaga elastycznego stosunku do teorii, zwłaszcza do jej dogmatycznych wersji. Wracając jednak jeszcze do zagrożeń. W jakiej mierze w przypadku feminizmu, jak w przypadku innych wyrazistych metod czytania, działa mechanizm przypo-

minający samospełniającą się przepowiednię? Że wiemy, co chcemy znaleźć w tekście, i to właśnie w nim znajdujemy? A że zestaw pytań jest wystandaryzowany, rezultaty badań wydają się właśnie nużące?

M. Świerkosz: Sądzę, że tu ważną rolę odgrywa kategoria feministycznej wrażliwości, która nie pozwala na mechaniczne traktowanie teorii feministycznych jako zestawu wytrychów. A także ruchliwość tych teorii, ich przenoszenie na płaszczyznę społeczną, konfrontowanie ich z praktykami kulturowymi czy z własnym doświadczeniem badacza. Chodzi o to, by feminizm nie stanowił centrum naszych praktyk interpretacyjnych i badawczych, ale by przenikał te praktyki, był swojego rodzaju filtrem, nakładanym na filtr inny: doświadczenia badacza czy badaczki. To, że należy każdorazowo określić swoją pozycję, jest przez feminizm nieustannie podkreślane, i to skądinąd naraża go na ataki ze strony bardziej zobiektywizowanych badaczy. Wskazują oni, że feminizm nie jest stałym i pewnym gruntem, skąd bezpiecznie obserwuje się literaturę czy kulturę, ale zakłada każdorazowe określanie się wobec tekstu, tekstu literackiego czy tekstu kultury, definiowanie własnej pozycji i dokonywanie auto-refleksji na temat własnej praktyki badawczej. Ale właśnie dzięki temu, jak się wydaje, obserwujemy ten rozwój świadomości metakrytycznej w feminizmie. Prymat konkretnych praktyk lekturowych może być wskazówką, jak uniknąć rutynizacji. Jej przykład pokazał Italo Calvino w *Jeśli zimową porą podróżny*, powołując tam do życia postać czytelniczki feministycznej, która prowadząc zajęcia ze studentami, daje zbiór gotowych pojęć, a właściwie frazesów, za pomocą których można uśmiercić każdy tekst.

A. Lebkowska: Chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na zagrożenie nie tyle wewnętrzne, ile zewnętrzne, mianowicie na agresywną krytykę feminizmu, najczęściej opartą na bardzo wątej jego znajomości, co uniemożliwia wszelką merytoryczną dyskusję.

T. Wałas: Rzeczywiście, w kręgach konserwatywnych wytworzony został czarny obraz feminizmu, uzyskany dzięki wyostrzeniu niektórych jego elementów. Niedawno przy okazji Dnia Kobiet poświęciła mu sporo miejsca „Rzeczpospolita”. Wypowiadano się tam o feminizmie – nie literaturoznawczym wprawdzie, lecz społecznym – wyłącznie krytycznie jako o zagrożeniu dla zdrowego rozsądku i życia społecznego, nie traktując go, hipotetycznie nawet, jako partnera w dyskusji, lecz jako ideologiczną aberrację.

T. Nastulczyk: W tym roku ukazał się numer „Gościa Niedzielnego” z wielkim nagłówkiem: *Gender wypacza umysły...*

M. Skucha: A w 2009 – *Idea gender jako wyzwanie dla teologii* – zbiór katolickich, konserwatywnych i backlashowych artykułów o zgubnym wpływie „ideologii gender”.

M. Świerkosz: Ale z tego starcia i z tego konfliktu feminizm czerpie siłę. Nie pozwala to też badaczkom i badaczom genderowym osiąść na laurach. Jeśli się jest tak wystawionym na ostrzał, jest się również zmuszonym do rozwoju, do doskonalenia swojego warsztatu, swojej intelektualnej pozycji.

T. Walas: Tu bym akurat polemizowała. Bo to jakby powiedzieć, że walenie kogoś kłonicą powoduje taneczną płynność jego ruchów. Postawa krytyczna, o jakiej tu mowa, nie tworzy ram intelektualnej polemiki, bo nie odwołuje się na ogół do realnego obrazu zjawiska, które zwalczą, lecz do jego karykaturalnej, wtórnie zideologizowanej postaci; nie pogłębia więc myślenia, a raczej je paraliżuje.

Wracając jednak do samej krytyki feministycznej i jej rzeczywistości życiodajnych miejsc. Czy i gdzie je widzimy?

T. Nastulczyk: Jako badacz homoseksualności staropolskiej, zazdroszczę krytyce feministycznej świadomości swojej historii i tej nieustannej rewizyjności, o której była mowa. Moim doświadczeniem jest epizodyczność istniejących badań. Jakiś lekarz napisał coś w początkach XX wieku; niezależnie od niego na podobny przypadek zwrócił uwagę historyk prawa kilkadziesiąt lat później; kolejny przykład przewinął się w książce poświęconej procesom o czary, kilka innych źródeł odnalazł historyk obyczajowości. W sumie wszystko pozostało w rozproszeniu. Dysponuję wieloma niezależnymi opracowaniami, które są pisane w oderwaniu od siebie, w różnych czasach i diametralnie różnymi językami, więc wartość krytyki feministycznej widzę w tym, że tutaj wszystko płynnie się układa, jedna myśl wypływa z drugiej, nie ma zerwań.

M. Świerkosz: Trzeba jednak włożyć ogromną pracę, żeby tę ciągłość zobaczyć. A być może badania historyczne odkryją i tutaj różne zapomniane ogniwa, i ta historia naprawdę się ułoży.

A. Łebkowska: Więc jest co robić i nie powinno być nudno...

M. Świerkosz: Ja czekam na prace moich kolegów. Na to, żeby w tych badaniach genderowych okazało się, że mężczyzna ma płeć, ma ciało; żeby ucieleśnić mężczyznę. A stanie się tak, gdy mężczyzna zrezygnuje z tej swojej hegemonicznej pozycji, w tym przypadku – w dyskursie akademickim, jeśli uruchomi swoją własną cielesność, czyli sproblematyzuje własną płciowość, uczyni płeć męską także kategorią interpretacyjną. Wiem, że takie badania są prowadzone. Niektórzy właśnie w ten sposób odróżniają *women studies* od *gender studies*, gdzie w grę wchodzić może zarówno męskość, jak i kobiecość, choć wydaje mi się, że w *gender studies* w dalszym ciągu jednak dominują studia kobiece. A to jest ogromna przestrzeń dla badaczy mężczyzn, choć nie tylko dla nich. Na nich jednak najbardziej bym liczyła, choć nie wiem, czy podejmą to wyzwanie.

A. Burzyńska: Są już w tej kwestii pewne znane i bardzo dawne zresztą doświadczenia, na przykład wspomnianego wcześniej Rolanda Barthes'a. Przecież od pewnego momentu – chociażby od książki *Sade, Fourier, Loyola* – był on niezwykle wręcz zainteresowany własną cielesnością i z tej, by tak rzec – cielesnej perspektywy chciał uprawiać pisanie o literaturze, a nawet, niejako próbować „odzyskiwać” we własnym pisaniu ciało autora (też mężczyzny, z dość dobrze znanych powodów), którego teksty czytał. Ale dopóki traktował cielesność (albo przyjemność, także seksualną) jako rodzaj wirusa wpuszczonego w zimną i bezcielesną teorię strukturalistyczną (czyli jednak wciąż pozostającą na gruncie teorii), to jeszcze jakoś mu się to udawało – nawet ostatecznie, w przypadku tej *jouissance* z *Przyjemności tekstu*. Gorzej było w praktyce – praktyce pisania męskim ciałem – bo to właśnie próbował robić w późnym okresie swojej aktywności, ponieważ wyszło z tego jednak – muszę to przyznać uczciwie, mimo całej mojej miłości do niego – sporo banałów. Ale niewątpliwie położył niemałe zasługi na tym polu, a nawet te jego wysiłki uobecniania ciała w pisaniu są chwilami bardzo wzruszające, jak na przykład w stosunkowo niedawno wydanej po polsku, jednej z ostatnich jego książek – niby autobiograficznej, lecz oczywiście w niczym nie przypominającej tradycyjnej autobiografii – *Roland Barthes par Roland Barthes*. Mówię o tym dlatego, że te wysiłki Barthes'a mogą stanowić cenną inspirację dla aktualnych nurtów somatycznych, i to zarówno zajmujących się cielesnością kobiecą, jak i męską. Męską nawet bardziej, bo te badania ciągle raczkują.

M. Skucha: To jest olbrzymie pole do zbadania, ponieważ otwiera się tu kilka różnych perspektyw. W Polsce studia nad męskosciami rzeczywiście raczkują. Trudno byłoby mi wskazać więcej niż pięciu badaczy, którzy się tym zajmują. Tematem niewątpliwie interesującym byłby na przykład obraz męskiego ciała – i w ogóle mężczyzn – w literaturze pisanej przez kobiety. Albo feministyczne (ale też – maskulinistyczne, genderowe, queerowe) odczytania tekstów męskich. Do tej problematyki przybliży się nieco Ryszard Koziołek. Ważne są również interpretacje Ritza, Kaliściaka, Śmiei czy Warkockiego. Ale to wciąż za mało.

Widzę też inny, pomijany obszar badawczy, uwzględniający poetykę odbioru. Chodzi mi o kwestie modelowego czytelnika i modelowej czytelniczki, czyli o próbę odpowiedzi na pytanie, jaki odbiorca wpisany jest na przykład w romanse, w powieści przygodowe czy powieści o dojrzewaniu. Problem ten sugerowała na razie jedynie Ewa Krakowska.

A. Łebkowska: Zachodnie literaturoznawstwo w ogólności chętnie wykorzystuje trop gatunkowy. Czy nie sądzicie Państwo, że zbyt mało pisze się u nas o liryce? Większym powodzeniem cieszy się proza, nawet dramat. Oczywiście, są rozprawy o poezji Świrszczyńskiej, Poświatowskiej, Ginczance i innych, ale dałoby się tu zrobić znacznie więcej. Gdybym więc miała wskazać

jakieś miejsce słabiej przez krytykę feministyczną zagospodarowane, wskazałabym właśnie lirykę.

T. Walas: Jakież inne jeszcze białe plamy w obrębie krytyki feministycznej?

T. Nastulczyk: Na pewno są to kobiety nieheteroseksualne. Z bardzo oczywistego powodu – z braku źródeł. Ponieważ kobiety uważano za mniej ważne, ich homoseksualność nie była szczególnie potępiana i nie znajdowała się w polu uwagi rozmaitych moralistów, kaznodziei, pisarzy, którzy zajmowali się ważnymi tematami społecznymi, takimi choćby jak homoseksualność mężczyzn. Nawet w tych posiadanych przeze mnie strzępach źródeł dotyczących homoseksualności staropolskiej, bardzo wyraźnie widać nieobecność kobiet. To samo jest na Zachodzie. Jeśli u nas realnych kazusów męskich jest siedem, a na Zachodzie setki tysięcy, to kobiet nawet tam jest jedynie kilkadziesiąt. To milczenie wokół homoseksualności kobiet wydaje mi się olbrzymią białą plamą do odkrycia. Zwłaszcza w aspekcie historycznym.

Inny obszar to literatura pornograficzna, którą też należałoby przeczytać krytycznie. Jej przebadanie z punktu widzenia seksualności, kwestii kobiecej wydaje się bardzo istotne, a nie zajmowano się nią przez wiele lat z przyczyn obyczajowych. A może to być materiał inspirujący. To niekoniecznie musi być tylko literatura męska, pisana z męskiego punktu widzenia, odzwierciedlająca i kreująca stereotypy; kto wie, czy nie znajdziemy tam czegoś, co jest erotyczną literaturą kobiecą, nieobecną w pamięci kultury.

M. Świerkosz: Nie chciałabym gasić tego entuzjazmu, ale sędzę, że w tych badaniach trzeba też być przygotowanym na pewnego rodzaju rozczarowanie, które nie powinno zniechęcać do dalszej pracy. Pamięamy ten optymistyczny ton krytyczek z lat siedemdziesiątych, które marzyły o odkryciu zapomnianych siostr Shakespeare'a spoczywających w tych archiwach i czekających na odkrycie dzięki rzetelnej historycznej kwerendzie. I, jak wiemy, okazywało się najczęściej, że jednak tych siostr Shakespeare'a nie było, bo nie mogło ich być. Badania materiałowe pokazały, że w przeszłości niewiele jest tak zwanego autentycznego kobiecego mówienia, bo nie ma czegoś takiego, jak czysto kobieca narracja wyizolowana z patriarchy.

T. Nastulczyk: Niestety, nie da się prowadzić poszukiwań materiałowych bez entuzjazmu. Zawsze trzeba liczyć, że trafi się na jakiś dokument, jakieś akta sądowe. Miałem parę takich odkryć, pracując nad swoją książką. Otóż nagle okazywało się, że gdzieś w sieradzkich aktach sądowych zalega zupełnie sensacyjny materiał procesowy o romansie piekarza z czeladnikiem, który się skończył torturami i stosem. Takie materiały w rozproszeniu nie są szczególnie spektakularne, ale zebrane potrafią dać pewien obraz. Kiedy zaczynaliśmy z doktorem Oczko pisać tę książkę, spodziewaliśmy się, że napiszemy dłuższy artykuł: sto kilkadziesiąt stron, a wyszło nam około pięciuset.

M. Świerkosz: Sama muszę przyznać, że kiedy zaczynałam pisać doktorat, byłam wyznawczynią i wielbicielką teorii. W toku pracy coraz bardziej stawałam się historyczką literatury. Podobne doświadczenie mają też inne moje koleżanki. I wydaje mi się, że jest to dość powszechne i symptomatyczne odczucie. Wiele (wielu) z nas zachłysnęło się teoriami, bo one były i są nadal niezwykle inspirujące, ale moc źródła jest nie do przecenienia.

T. Walas: Widać z tego, że i krytyka feministyczna gotowa jest wpisać się w kolejny zwrot, który wyłania się coraz wyraźniej na badawczym horyzoncie: od teorii do historii. Kwestia bowiem badań materiałowych jako drogi wyjścia z dostrzeganego impasu powraca w naszej rozmowie. To wniosek optymistyczny, odległy od retoryki kryzysowej i melancholijnej, więc zamknijmy nim to nasze spotkanie. Dziękuję wszystkim za rozmowę.

